

GAZETA POLSKA

STREFA WOLNEGO SŁOWA

190 lat „Gazety Polskiej”

Dodatek pod redakcją
Agnieszki Kowalczyk

” Początek lat 60. XIX wieku przyniósł wielkie, ale zarazem dramatyczne wydarzenia dla naszej ojczyzny. Kraszewski i Kronenberg, obaj stojący wówczas na czele „Gazety Polskiej”, zaangażowali się czynnie w działania służące sprawie narodowej. Na fali nastrojów przedpowstaniowych ogarniających Warszawę udało się im nawet w pewnym momencie przejąć władzę, tworząc Delegację Miejską, która na krótko zapoczątkowała tzw. rządy polskie, z entuzjazmem przyjęte przez rodaków. „Gazeta Polska” pod auspicjami Kraszewskiego starała się aktywnie włączać w nurt życia narodu przed powstaniem styczniowym. Było to jednak nie lada wyzwaniem dla naszych publicystów, gdyż szalejąca cenzura zakazywała podawania wszelkich informacji i komentarzy na temat bieżących wypadków politycznych w kraju. Wtedy jednak, kiedy było to tylko możliwe, „Gazeta Polska” ukazywała rzeczywistą sytuację i patriotyczne nastroje panujące w stolicy oraz wzywała do zachowania jedności narodowej.

„Gazeta Polska” wobec sprawy narodowej u progu powstania styczniowego



Patriotyczne stroje kobiet z 1861 roku. Rysunek Juliusza Kossaka

W dziesiąty dzień październikowy cara Aleksandra II nie przywitały wiwatujące tłumy. Polacy w większości pozostali w domach, a wieczorna iluminacja w strugach deszczu wypadła żałośnie. Na murach przeczytać można było hasła w rodzaju: „Zlatują się kruki, siedźcie w domu gawrony”. Na afiszach teatralnych w tytule granej niedawno sztuki „Robert i Bernard. Dwaj złodzieje” zaklejono pierwszą część, robiąc wymowną aluzję do cara i regenta pruskiego, którzy tego dnia bawili w Pałacu Belwederskim.

Cała Warszawa jak grobowiec okryty kirem

Był 11 czerwca 1860 r. O szóstej wieczorem na ulicy Królewskiej zebrał się wielotysięczny tłum żałobników, by pożegnać zmarłą generałową Katarzynę Sowińską i towarzyszyć jej w ostatniej drodze na cmentarz ewangelicko-reformowany...

Każdy pragnął chociaż dotknąć ramieniem trumny ze szczątkami żony wielkiego Polaka, bohatera powstania listopadowego, ostatniego obrońcy Woli.

Pogrzeb wielkiej patriotki

Kiedy duchowny zbliżał się już do końca mowy pogrzebowej i nazwał zmarłą wdową po pułkowniku, z ust tysiąca wyrwał się jeden okrzyk: „Nie po pułkowniku – po jenerale!”. Wszyscy dobrze pamiętali, że generałem mianował go jeszcze rząd powstańczy. Okrzyk ten miał swoją głęboką wymowę, podobnie jak patriotyczny gest ze strony ludu, który, gdy tylko zmarłą zaczęto spuszczać do grobu, „rzucił się do niej wszystek [...], rozrywając krańce sukni wystające zza trumny, wszystkie jej ruchome ozdoby zdarł na szczątki, chował przy sercu, aby unieść z cmentarza choć tę jedyną pamiątkę. Zdawało się jakby nie ciało żony Sowińskiego, lecz razem pamięć Jej męża spuszczone do grobu [...]. Ciało spoczęło już w ziemi. Lud, tłocząc się ogromną masą, jak rozogniona lawa płynął do grobu, by rzucić nań garstkę ziemi. [...] Z kilkunastotysięcznej ludności [...] bardzo wielka cześć wprost z cmentarza udała się do Woli, i tam, z miejsca, gdzie Sowiński poległ, uszczknęła gałązki...”. Taka relacja znalazła się w krakowskim „Czasie”, wychodzącym w zaborze austriackim, gdzie była większa swoboda druku. W Królestwie Polskim natomiast prasa stołeczna nie mogła pisać tak otwarcie o ważnych dla nas wydarzeniach, tym bardziej że pogrzeb Sowińskiej przeobraził się w wielką patriotyczną manifestację. „Gazeta Codzienna”, podobnie jak „Kurier Warszawski” czy „Gazeta Warszawska”, zamieściła jednak informację o pogrzebie Sowińskiej z krótkim, ale znaczącym dla Polaków komentarzem podtytułowanym wyższą koniecznością „oddania hołdu [jej] życiu pełnemu cnót, prawdy i poświęcenia”.

Wśród rodaków żywa była wciąż pamięć o tym, iż to ona w czasie powstania listopadowego powołała do istnienia Związek Dobroczynności Patriotycznej, który or-

ganizował zbiórki na potrzeby ochotników powstańczych, opiekował się rannymi i rodzinami poległych. Po klęsce tego zrywu Sowińska udzielała pomocy więźniom politycznym i zesłańcom na Sybir. Oskarżona o utrzymywanie kontaktów z emigracją patriotyczną została w 1835 r. aresztowana i spędziła ponad dwa lata w więzieniach Warszawy, Lublina i Łomży. Po uwolnieniu nie zaprzestała swej działalności dobroczynnej, tak iż nawet śmierć zastała ją w chwili, gdy nosiła pomoc ubogiej kobiecie. Toteż nie dziwi fakt, że Warszawa po raz pierwszy od 30 lat nie widziała jeszcze tylu tysięcy Polaków manifestujących z dumą i godnością swe patriotyczne uczucia. Redaktor naczelny „Gazety Codziennej”, Józef Ignacy Kraszewski, nie mogąc opisać na łamach dziennika ceremonii pogrzebowej generałowej Sowińskiej, uczynił ją w niedalekiej przyszłości bohaterką swojej powieści „Dziecię Starego Miasta” (1863), w której oddał całą prawdę o Warszawie gotującej się do powstania.

„Trzy sępy” w stolicy

Tymczasem zbliżał się 20 października – zjazd trzech monarchów. Do stolicy mieli przybyć car Aleksander II, cesarz Franciszek Józef oraz regent pruski Wilhelm. Trzech naszych zaborców niepokoiła coraz bardziej sytuacja ogólnoeuropejska. Włochy jednoczyły się, wojska austriackie opuszczały w popłochu Półwysep Apeniński, legendarny Garibaldi święcił tryumfy po wyzwoleniu Sycylii. Austria była na przegranej pozycji. Bała się wystąpienia wolnościowych uciemiężonych przez nią narodów – Polaków, Węgrów, Serbów i Czechów. Toteż Franciszek Józef zdecydował się na ustępstwa i podpisał „dyplom październikowy”, który otwierał w Cesarstwie Habsburgów erę konstytucyjną zapewniającą podbitym

narodom udział we władzy. Obawiano się, by pożar włoskiej rewolucji nie rozprzestrzenił się na Słowiańszczyznę południową i Węgry, by nie rozpałił Polaków.



Katarzyna Sowińska, wdowa po generale Józefie Sowińskim, obrońcy Woli. Jej pogrzeb przerosł w pierwszą wielką manifestację patriotyczną

ulica żyła przeciw włoską sprawą. Rozchwytywano „Gazetę Codzienną”, w której znaleźć można było najnowsze doniesienia z Italii, życiorysy Cavoura, Garibaldiiego, Wiktora Emmanuela II. Nawet czeladź szewska podczas bijatyki w gospodzie na Podwalu zareagowała na wkroczenie policji okrzykiem: „Garibaldi! Bij, zabij salcesonów!”. We Włoszech zaś u boku Garibaldiiego walczyli coraz liczniejsi Polacy, sam wódz „czerwonych koszul” zdecydował się 5 października na utworzenie międzynarodowego legionu, w którym również znaleźć się mieli Polacy. Powstał nawet komitet garibaldiczyków polskich. Na jego czele stanął Marian Langiewicz, który po przybyciu do Włoch usłyszał od Cavoura znamienne stwierdzenie: „W Polsce, a nie gdzie indziej, jest centrum zagadnień europejskich...”.

Polacy zaś dobrze pamiętali ostatnią wizytę Aleksandra II w Warszawie, a zwłaszcza słowa cara, które wstrząsnęły nimi do głębi i nie pozostawiły żadnych złudzeń: „Nie ma już Polski, proszę to powtórzyć tym panom. Jest rosyjska prowincja i ich marzenia są absurdalne”. Teraz w Warszawie trzej nasi zaborcy radzić mieli, jak nie dopuścić do rewolucyjnego wrzenia w Europie, a polscy patrioci obmyślali misterny plan, by zgotować im niezapomniane przyjęcie. Tuż przed przybyciem „trzech sępów”, jak o nich powszechnie mówiono, po całym mieście krążyły ulotki z odezwą do Polaków: „Bracia! Niech gród wasz w czasie pobytu naszych ciemiężców przybierze na się postać grobu okrytego kirem. Niech na każdym kroku przypo-

mina ich zbrodnię na nas popełnioną i niech wszelką radość całun śmiertelny przykryje". W dzidy dzień październikowy cara Aleksandra II nie przywitały więc wiwatujące tłumy. Polacy w większości pozostali w domach, a wieczorna iluminacja w strugach deszczu wypadła żałośnie. Na murach przeczytać można było hasła w rodzaju: „Zlatują się kruki, siedźcie w domu gawrony”. Na afiszach teatralnych w tytule granej niedawno sztuki „Robert i Bernard. Dwaj złodzieje” zakleiono pierwszą część, robiąc wymowną aluzję do cara i regenta pruskiego, którzy tego dnia bawili w Pałacu Belwederskim. Nazajutrz dołączył do nich jeszcze Franciszek Józef. I dla tej trójcy europejskich mocarzy gimnazjaliści i studenci zgotowali specjalne przyjęcie w Teatrze Wielkim. Przygotowali płyn wydzielający straszny odór (asafetyda) i oblali nim przed spektaklem galową lożę przeznaczoną dla monarchów. Nie oszczędzili też kreacji dam, które towarzyszyły królewskiej świcie. Sama zaś konferencja trzech naszych zaborców zakończyła się fiaskiem. Car nagle skrócił swój pobyt i wyjechał do Petersburga. Namiestnik Królestwa Polskiego Górczakow tłumaczył potem brytyjskiemu konsulowi, że polskie demonstracje są bez znaczenia, bo car nie będzie naśladował liberalnych reform austriackich. „Zabór rosyjski – dodawał – dostał taką lekcję w czasie ostatniej rewolucji, że niełatwo się znowu ruszy”.



Gazety nie mogły oficjalnie pisać o żałobie narodowej, ale czyniły to w sposób aluzyjny, wykorzystując możliwość przedstawienia tendencji panujących we współczesnej modzie dla kobiet. Tak na przykład „Tygodnik Ilustrowany” zaprezentował czytelnikom specjalne plansze drzeworytnicze z typami dawnych polskich ubiorów według rysunków Juliusza Kossaka, wśród których nie zabrakło też strojów współczesnych. „Oto pięć sylwetek kobiecych – objaśnia Helena Duninówna – podobnych do siebie [...], w fasonach długich, pękających, sztywnych spódnic i okalających je ozdób. [...] Jedna z dam przyodziana jest w rodzaj czamarki z obfitym szamerowaniem. Rogatywki na głowach, jedna z piórkiem. Czerń, biel i szarość. Ale najpiękniejsza – ta pierwsza, cała czarna, żałobna, z nalotem krepowego woalika na małym [...] kapelusiku, bez najmniejszego nawet rąbeczka bieli”. Równie wymowne były kobiece ozdoby – bransolety z żelaznych ogniw przypominających kajdany, broszki o kształcie cierniowej korony, czarne obrączki ze srebrnym orzełkiem, czarne krzyżyki na czarnej wąskiej aksamitce czy pokaźne krzyże na długim łańcuchu. Polki nosiły też owalne medaliony z lawy, które kryły w sobie drogie pamiątki z powstania: pasemko włosów, malutki dagerotyp, to, co nosiło się blisko serca. ... Polskość manifestowano więc rodzajem stroju i symbolicznymi dodatkami. „Był to dziwny i niezwykły widok – odnotuje w swych zapiskach rosyjski historyk Berg – „te tłumy kobiet czarno ubranych. ... mężczyźni w czerni, wielu z oznakami żałoby u kołnierzy i kłap, surdutów lub czamarek. Nawet lalki w ręku dziewczątek. ... ubrane żałobnie. Obręcze służące dla zabawy dzieci. ... owinięte białymi i czarnymi taśmami. ... Kapelusze pań przybrane w kwiaty żałobne”.

„Od niewoli wybaw nas, Panie”

Górczakow nie miał jednak racji. Mijało właśnie 30 lat od wybuchu powstania listopadowego. Polacy postanowili zmanifestować otwarcie swą jedność i siłę, udowodnić, że carski terror nie złamał ducha w narodzie. Kiedyś rocznicę nocy listopadowej obchodzili w ukryciu, w zaciszu domowym. Teraz, jak wspomina Narcyza Żmichowska, „stanęli wszyscy razem, jawnie, po dniu białym, z odkrytą twarzą [...]”; a kiedy wieczorem przed Karmelitami na Lesznie się zgromadzili, to ci, co pierwszy głos wzniesli, nie kryli się wśród tłumu ciemnością zabezpieczonego, ale pod światłem lamp gorejących przyklepli i od tak dawna nie słyszane na bruku warszawskim imię ojczyzny pełną pierśią wygłosili”.

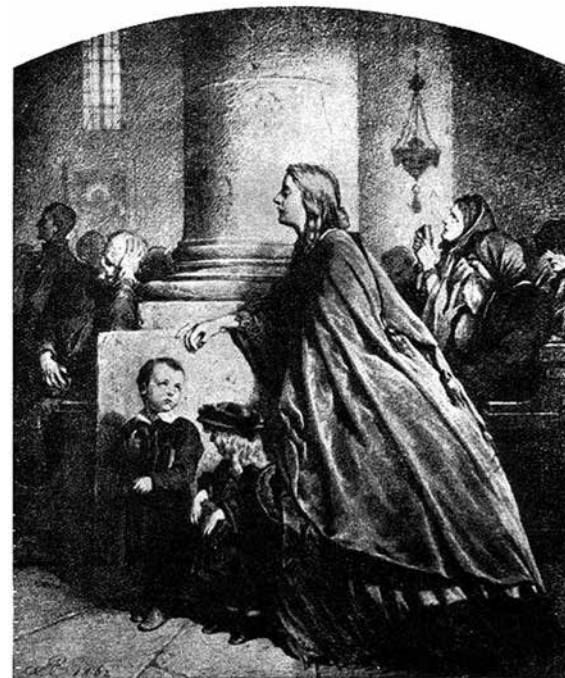
W tym dniu w kościele Karmelitów młodzież ze Szkoły Sztuk Pięknych zamówiła mszę żałobną za dusze poległych powstańców. Czekano z niecierpliwością na jej rozpoczęcie, bowiem ksiądz wciąż nie nadchodził. W końcu zakrystian zaczął gasić świece przy ołtarzu. Okazało się, że policja zabroniła odprawiania nabożeństwa. Na wieść o tym młodzież poderwała się z pieśnią „Święty Boże” na ustach. Zamiast prośby „od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie” rozległo się głośnie błaganie „od niewoli wybaw nas, Panie”. Ten świadomie zainonowany chorał uderzył z całą mocą o sklepienie kościoła, dumnie i groźnie.

Przed świątynią Karmelitów wznosiła się figura Matki Boskiej, a nad jej głową jaśniał wieniec zapalonych lampek olejnych. Tego wieczoru stała się ona orędowniczką narodowej sprawy, bo przed jej posągiem zebrała się młodzież akademicka, by uczcić bohaterów powstańców. Do studentów zaczęli przyłączać się przechodnie. Pochód rósł z minuty na minutę. Ciszę listopadowego wieczoru, ciemnego i posępnego jak sama noc paskiewicza nad Polską, przerywały raz po raz bolesne skargi uczestników pochodu. Tłum szedł niewzruszony, dumny, śpiewając „Boże! coś Polskę”, to znów chorał Ujejskiego: „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”. Wreszcie zaś w niebo uleciały słowa „Mazurka Dąbrowskiego”: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Młodzi wciskali przechodniom do rąk portreciki Kościuszki i Kilińskiego. Szli dalej w stronę miasta z odsłoniętym czołem, silni i pełni wiary, tak jakby czerpali ją od bohaterów tamtej pamiętnej nocy. Policja była zdezorientowana, przesuwiała się pod murami, nie otrzymując żadnego rozkazu do działania. Manifestacja powoli kończyła się. Słychać było jeszcze w oddali głosy: „Co nam obca przemoc wzięta, siłą odbierzemy!” Nazajutrz w skrynkach pocztowych mieszkańcy miasta znaleźli odezwy nawołujące do powszechnej żałoby narodowej.

Grobowiec okryty kirem

Warszawa zmieniła się nie do poznania. Zajęcia, rozrywki, zabawy, które dotychczas stanowiły treść życia mieszkańców, odeszły w zapomnienie. Bojkotowano wszelkie bale, zamilkły orkiestry w kawiarniach, nie słychać było nawet podwórkowych katarzyniarzy. Z ulic zniknęły strojne, barwne krynoliny, lśniące jedwabie, tiule i muśliny, przestały w słońcu połyskiwać tęczowe parasolki. Kobiety przywdziały żałobną czerń, a mężczyźni czamarki i rogarywki.

Cała Warszawa przypominała grobowiec okryty kirem. Żałobny wystrój miały nawet sklepowe witryny. Pod czarno-białymi szyldami widniały wystawy utrzymane w czarno-białej tonacji kolorystycznej. Na Miodowej przyciągały wzrok czarne fortepiany firmy Juliusza Hermana, na Bonifraterskiej firma J. A. Krausse wystawiła baterie czarnych i białych lakierów oraz butle czarnego atramentu. Na Senatorskiej Ludwik Spiess wyeksponował duże, czarne pudła z pastą do podłóg. Skład żyrdowskich płócien na rogu Senatorskiej i Bielańskiej wśród stosów czarnego i białego płótna umieścił czarno obramowane chusteczki, a skład win Franciszka Rozmanitha na Długiej przykuwał uwagę trunkami w czarno opakowanych butelkach. Nawet w cukierniach ustawiano pudła białych cukierków pomieszanych z ciemnymi czekoladkami. Czerń łączyła więc ludzi i cały naród czuł się jednością.



Artur Grottger „Wdowa”. Cykl: Warszawa II 1862



„Gazeta Polska” solidaryzuje się ze społeczeństwem

Pamiętne 1861 r., który obfitował w dramatyczne dla Polaków wydarzenia, „Gazeta Polska” znajdowała się w rękach wielkiego warszawskiego finansisty – Leopolda Kronenberga – i wielkiego pisarza zaangażowanego w życie narodu – Józefa Ignacego Kraszewskiego.



O baj stali na stanowisku, że Polacy nie są jeszcze gotowi do podjęcia walki zbrojnej, że kolejny zryw narodowowyzwoleńczy wykrwawi tylko naród i nie przyniesie upragnionej wolności. Zamiast orężnej walki o niepodległość proponowali pracę organiczną, rozwój gospodarczy kraju, przebudowę społeczną w kierunku konsolidacji narodu, demokratyzację życia publicznego, zniesienie barier stanowych... Pragnęli, by Polacy rośli w siłę, by czuli się gospodarzami we własnym kraju, by bez przelewu krwi wymusili na państwach zaborczych rozszerzenie autonomii i praw obywatelskich. Taki program działania patronował niepodległościowej konspiracji „białych”, która skupiała zwłaszcza ziemiaństwo, arystokrację i bogate warstwy mieszczaństwa. Należał do niej sam właściciel „Gazety Polskiej” – Kronenberg. Natomiast na przeciwnym biegunie ideowym znalazło się radykalne ugrupowanie patriotyczne „czerwonych”, opowiadające się za podjęciem otwartej walki z Rosją.

Kraszewski miał już za sobą doświadczenia z przedlistopadowego okresu konspiracji, do której należał jako student Uniwersytetu Wileńskiego. Za działalność patriotyczną został najpierw skazany na śmierć, potem karę zamieniono mu na służbę „w sołdatach” i tylko dzięki wpływom wstawiennictwu mógł po dwuletnim pobycie w więzieniu wyjść na wolność. Te bolesne przeżycia z okresu powstania 1830 utwierdziły go w przekonaniu, że walka zbrojna pociąga za sobą rozlew krwi, cierpienia narodu i nieuniknione represje w wypadku klęski, bo jak pisał w „Wieczorach wołyń-

skich” (1857): „ilekroć uciekaliśmy się do pięści, zgnieciono nas mimo olbrzymich wysiłków”. Ostrożnie odnosił się więc do programu „czerwonych”, którzy w zbrojnej walce widzieli jedyną szansę na wyzwolenie Polski. W istocie w Kraszewskim toczyła się wewnętrzna walka między przywiązaniem do idei zrywów narodowyzwoleńczych a odpowiedzialnością za losy narodu, którego czuł się przewodnikiem.

Luty 1861. Tryumf narodowej solidarności

Redaktorem naszej gazety wstrząsnęły do głębi dramatyczne wypadki z początku 1861 r. 25 lutego postanowiono uczcić stoczoną przed 30 laty bitwę na polach Grochowa. W ten dzień po całej Warszawie rozrzucono ulotki nawołujące do gromadzenia się na Rynku Starego Miasta. Tego wieczoru w kościele Paulinów przy ulicy Freta odbywało się nabożeństwo pasyjne. Gdy zaś ludzie zaczęli wychodzić z kościoła, przed świątynią zajeżdżał wóz przykryty śmieciami. Nagle wydobyło z niego wielką chorągiew z Orłem i Pogonią oraz sporo mniejszych. Z kamienicy Gdańskiej wybiegło kilkunastu młodych ludzi z pochodniami. Tłum ruszył na Rynek, śpiewając suplikacje. Wtedy też otwierały się okna, ukazywały się w nich damy, rzucając na idących wieńce i kwiaty. Wykrzykiwano: „Garibaldi! Trzeci Maj! Precz z Moskalami!”. Tymczasem na Rynek zajeżdżał ober-policmajster Fiodor Trepow, wzywając zgromadzonych do rozejścia się. Jego rozkazu jednak nie usłuchano, obrzucając go wyzwiskami. Następnego dnia powtarzano w Warszawie, że „przy wodotrysku dostał po pysku”. Manifestujących zaczął rozpędzać nadjeżdżający od Świętojańskiej oddział konnych żandarmów. Aleksander Kraushar podaje, że „dobyli szabel i [...] zaczęli energicznie płazować i rąbać. Pochodnie w błoto rzucone w oka mgnieniu zgasły; [...] potratowano końmi dużo ludzi, w tej liczbie kobiety i dziewczęta”. Aresztowano około 30 osób. Tej samej jeszcze nocy o krwawych wypadkach w Warszawie dowiedział się Paryż. „Piszemy do was obryzani krwią naszych męczenników, szlachetnych dzieci Warszawy – czytano w nadesłanej relacji. – Oto macie obraz tego strasznego dnia! Powiedźcie to całej Europie! Piszcie, krzyczcie! Natchnijcie wszystkich redaktorów francuskich i angielskich, [...] piszcie do Rzymu i duchowieństwu całego świata!”. To, co najgorsze miało jednak dopiero nadejść...

27 lutego w kościele Karmelitów na Lesznie miało się odbyć nabożeństwo żałobne za duszę Artura Zawiszy, partyzanta z oddziałów Zaliwskiego, straconego w listopadzie 1833 r. na placu kaźni w Warszawie. Akt upamiętnienia bohaterskiego powstańca zrodził kolejną manifestację. Rosnący z minuty na minutę pochód kierował się w stronę Starego Miasta, by tam upomnieć się o niedawno aresztowanych. Na jego czele szedł z krzyżem w rękę szewc Szymon Katyll, a tuż za nim podążał z obrazem Matki Boskiej Leon Frankowski. Nagle na drodze manifestujących wyrosły oddziały piechoty i kozaków. Całą scenę z okna zamku śledził w napięciu namiestnik Górczakow. Przed chwilą wydał rozkaz rozproszenia tłumu bez użycia broni. Kozacy sięgnęli więc po nahajki i smagali nimi bez litości. Uszkodzono krzyż i święty obraz Maryi. Zaatakowani zaczęli cofać na placyk między figurą Matki Boskiej i kolumną Zygmunta. Tam obok wznoszonego właśnie budynku Resursy Kupieckiej piętrzyły się jeszcze stosy cegieł i kamieni. I one to stały się bronią w ręku zgromadzonych. Tymczasem w Pałacu Namiestnikowskim toczyły się obrady Towarzystwa Rolniczego. Wtem do sali wpadł Józef Narzyski, błąd, z rozczochranymi włosami, obnażoną piersią i zakrwawioną twarzą. Ciszę przerwał jego rozzwierający krzyk: „Wy tu radzicie, a pod Zamkiem krew się leje!”. Zebranie przerwano, a większość poruszonych ziemian co prędzej udała się na miejsce krwawych zamieszek. W tym momencie manifestanci bronili się dramatycznie z zaimprovizowanych barykad, rzucając kamiennymi pociskami i grudami zmarzniętego błota w stronę żołnierzy. Cegłą dostał w plecy generał Wasyl Zabołocki. Wściekły, wydał rozkaz, by dać ognia do manifestantów. Padło 55 strzałów. Pięć pocisków okazało się śmiertelnych. Tłum zamarł i natychmiast się rozbiegł. Nikt nie spodziewał się, że wojsko otworzy ogień...



Scena z patriotycznej demonstracji 27 lutego 1861 r. Kozacy biją nahajkami manifestantów

„W najśmielszych myślach nie mógł Górczakow – pisze historyk Ryszard Bender – przewidzieć następstw tej jednej salwy dla siebie, dla Warszawy, dla kraju, którym w imieniu cara zarządza, dla imperium, dla Europy”. Manifestacja została stłumiona, ale to Polacy odnieśli wielkie moralne zwycięstwo nad wrogiem. Wzburzenie mieszkańców stolicy sięgnęło apogeum i wywołało paniczny strach u Górczakowa. Drżał o to, by gniew narodu nie stał się zarzewiem powstania. Wycofał więc wojsko i policję z ulic. Gotów był też na ustępstwa, by nie dopuścić do rewolucji. Radził się więc Andrzeja Zamoyskiego, jak uspokoić miasto. Ten zaś oświadczył, że musi zaprzestać represji, ukarać winnych przelanej krwi i uwolnić aresztowanych.

Rządy polskie w Warszawie

W tej dramatycznej dla narodu sytuacji Kraszewski i Kronenberg postanowili działać. W gmachu Resursy Kupieckiej przy ul. Senatorskiej zebrało się przeszło 500 osób – kupców, lekarzy, adwokatów, wyższych urzędników, dziennikarzy i literatów. W pół godziny obrano specjalny komitet, w skład którego weszli bankierzy – Kronenberg i Rozen, stary generał Lewiński, kamienicznik Piotrowski, kupiec Szelkier, fotograf Bayer, szewc Hiszpański, ponadto dziennikarze – Kraszewski i König, doktor Chałubiński oraz księża Wyszyński i Stecki. Do historii przeszli jako Delegacja Miejska. Jej reprezentanci udali się do Górczakowa i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu nie zostali jako buntownicy odesłani do X Pawilonu Cytadeli, ale uprzejmie przyjęci. Zażądali ukarania winnych śmierci demonstrantów i zgody na ich uroczysty pogrzeb. Carski namiestnik przystał na wszystko. Co więcej, to właśnie Delegacja Miejskiej powierzył tymczasową władzę nad wzburzonym miastem i pozwolił na uroczysty pogrzeb pięciu poległych.

Przyjaciel Kronenberga, Ignacy Baranowski, czekał całą noc na powrót delegacji. Czas włókł się niemiłosiernie, niepokój wzrastał z minuty na minutę. „Naraz – jak wspominał ten moment – zrobił się ruch na sali; ktoś zawołał: Powrócili! Wszyscy rzucili się do drzwi. Z powracających z Zamku pierwszy wpadł na salę Kronenberg i zawołał: Panowie! Zwycięstwo! Delegacja zatwierdzona! Pogrzeb pozwolony!”. Nazajutrz z inicjatywy Kronenberga porządku w mieście zamiast służb carskiej policji strzegła straż ochotnicza złożona z mieszkańców miasta.

Ranek 28 lutego 1861 r. Warszawa przywitała entuzjastycznie, bo teraz w stolicy, jak powszechnie mówiono, rozpoczęły się „rządy polskie”. „Moralne zwycię-

stwo nasze – pisała o tych dniach Narcyza Żmichowska – wielu burzliwym umysłem zdawało się już stanowczą na polu bitwy wygraną, widzieli rozproszoną armię moskiewską, i dlatego też stawiali niepodobne do przeprowadzenia wnioski, żądania, projekta, istnie jakbyśmy już mieli rząd narodowy, narodowe wojsko i z pięćdziesiąt tysięcy pobitych lub w niewolę wziętych nieprzyjaciół”. Delegacji Miejskiej udało się szczęśliwie utrzymać spokój. Pewnie dlatego, że Polacy czuli się znów gospodarzami w stolicy. Na ulicach nie było żadnego rosyjskiego żołnierza, gdzieś tam przemykali jedynie studenci patrolujący miasto. Przygotowywano się do pogrzebu pięciu poległych. Był to jeden z tych nielicznych momentów w okresie niewoli, kiedy „Gazeta Polska” mogła wreszcie otwarcie wyrazić nastroje panujące w społeczeństwie i zmanifestować jedność całego narodu w żałobie. Zbliżał się ów oczekiwany przez wszystkich dzień pogrzebu. Nasz dziennik podawał dokładny program ceremonii i przypominał nazwiska poległych, których ugodziły śmiertelne kule. Wśród męczenników narodowej sprawy znaleźli się: obywatele ziemscy – Marceł Karczewski i Zdzisław Rutkowski, czeladnik krawiecki Adamkiewicz, robotnik z fabryk żelaznych Karol Brendel oraz uczeń Szkoły Realnej Michał Arci-chewicz.

Pogrzeb pięciu poległych

Za pośrednictwem „Gazety Polskiej” przenosimy się teraz do kościoła św. Krzyża, gdzie w wigilię uroczystości wystawiono ciała pięciu poległych. W przyziemnym wnętrzu błyszczącym od mnóstwa ja-



Pogrzeb pięciu poległych 2 marca 1861 r. Obraz Aleksandra Lessera

„Całe miasto w szatach żałobnych, damy poprzystrajane czarno, pochód zgodny całej ludności miejskiej, wszystkich wyznań i stanów, pierwszy może raz u nas zgromadzeni pod jedną ideą ofiary, wszystkich obrzędów kapłani idący obok siebie, przedstawiciele wszystkich klas społeczeństwa podający sobie dłonie, na ostatek najmłodsze pokolenie pełne życia i wiary [...], oto zarys tej wielkiej karty dziejowej. Wobec otwartych mogił pojednanie i przebaczenie religijne, łzy ze wszystkich oczów płynące, bicie serc tego orszaku, które nie ledwie można było słyszeć, tak wielką ciszą obleczony był pochód zalewający miasto całe – śpiewy i muzyka żałobna dodawały uroczystości tej niepojętego uroku. [...] Pięć trumien okrytych palmami i cierniowymi koronami niesiono na ramionach aż na miejsce spoczynku, a orszak [...] otaczający pochód zajmował ulice, place, domy i dachy nawet kamienic przyległych. [...] Dziwnym dowodem dojrzałości ludu było to cudowne zorganizowanie się jego własne, [...] jego spokój i powaga. Ten dowód wielkich zasobów duchowych, nawet w chwili tak drażniącej swą świeżości jeszcze boleść – podnosi wysoko w oczach naszych stutysięczny tłum stolicy [...]. Było to coś strasznego i pięknego jak sen, wielkiego jak Dantowskie obrazy, smutnego dziwnym smutkiem, do którego uczucie pewnej dumy sprawiedliwej się mieszało; było to zwycięstwo potęgi ducha nad siłą namiętności i uczucia, tryumf woli niezłamanej i energii bezmiernej” – pisał w „Gazecie Polskiej” na drugi dzień po pogrzebie pięciu poległych Kraszewski.



Delegacja Miejska, która sprawowała „rządy polskie” w Warszawie. Wśród jej członków Kraszewski i Kronenberg

Kwietniowa masakra i koniec złudzeń

Niedługo jednak przyszło Polakom cieszyć się swobodami wywalczonymi w czas krwawego lutowego popołudnia. Już dzień po pogrzebie Górczaków w innym tonie przemawiał do Andrzeja Zamoyskiego, o wiele bardziej buńczuczny i pewny siebie. „Wreszcie teraz już się was nie lękam, mam dosyć wojska” – stwierdził, na co Zamoyski bez ogródek odpowiedział: „Możesz nas pan uraczać jeszcze mordowaniem księży i kobiet, jesteśmy gotowi na wasze kule”, po czym dodał z całą mocą: „Tak, cesarz rozstrzygnie, [...] albo będzie wielkim mężem, albo [...] obróci Warszawę w perzynę, okryje ziemię trupami i stanie się katem godnym przekleństwa ludów”. Na spełnienie się tych słów przyszło niedługo czekać. Car pod wpływem nacisku polskiego społeczeństwa ogłosił 27 marca koncesję dla Królestwa Polskiego. Uzyskano zapowiedź powołania Rady Stanu, rad gubernialnych, powiatowych i miejskich, restytuowania Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, na której czele stanąć miał Aleksander Wielopolski. Te ustępstwa były już jednak niewystarczające dla Polaków po tragedii 27 lutego, a car ani myślał o ich rozszerzeniu. Co więcej, postanowił zlikwidować wszelkie instytucje życia społecznego wywalczone w ostat-

nich dniach. Rozwiązano więc Delegację Miejską oraz sieć delegacji utworzonych na jej wzór w całym kraju. Z inicjatywy Wielopolskiego zniesiono też Towarzystwo Rolnicze.

Polacy czuli się rozczarowani i oszukani. 7 kwietnia udali się pod Pałac Namiestnikowski i tam wznosili okrzyki, wołali, że trzeba się porachować z Wielopolskim, po czym ruszyli pod Zamek. Górczaków nie zdecydował się jednak na użycie broni. Konsternację w otoczeniu namiestnika wywołał fakt, że tego samego dnia zastrzelił się pułkownik Jan Peicker, by nie wziąć udziału w szarży na bezbronnym tłumie. Wielopolski, pozbawiony takich skrupułów, jeszcze tej samej nocy przygotował „ustawę o zbiegowskach”, która przewidywała użycie broni jako ostatecznego środka przeciwko demonstrantom. Nazajutrz cała Warszawa wiedziała o nowym rozporządzeniu margrabiego. Nic nie było jednak w stanie powstrzymać rozgorzyczonych Polaków przed zorganizowaniem nowej manifestacji. Chcieli po raz kolejny wyrazić swój sprzeciw wobec carskiego despotyzmu. Kilkaset ludzi zebrało się pod Zamkiem. Przed figurą Matki Boskiej rozpoczęto śpiewy religijno-patriotyczne. Wtem nadjechała karetka pocztowa, z której rozległa się grana na trąbce melodia „Mazurka Dąbrowskiego”. W serca zgromadzonych wstąpiła jakaś wielka odwaga i ruszono w stronę Zamku. Tu na manifestantów czekało już wojsko – 1300 żołnierzy. Mimo nakazu rozejścia się

rzających się swiateł ustawiono pośrodku proste, czarne drewniane trumny ukoronowane cierniowymi wieńcami. Otaczały je w modlitewnym skupieniu wciąż napływające rzesze Polaków. Kraszewskiemu, który znalazł się wśród tysięcy żałobników, zdawało się, że cały naród stopił się w tej podniosłej chwili w jedną całość. Pod sklepienia świątyni wzniosło się „Requiem” Stefanięgo, a po odprawionej mszy świętej arcybiskup Fijałkowski pobłogosławił zwłoki i mimo swego podeszłego wieku odprowadził je aż do Pałacu Potockich, po czym na czele konduktu stanął biskup Plater. Kraszewski był pod ogromnym wrażeniem ceremonii, bo takiego pogrzebu jego zdaniem Polska jeszcze nie widziała.

Nasz dziennik zaangażował się również w szczytną akcję zbierania funduszy na wystawienie pomnika ofiarom manifestacji na cmentarzu Powązkowskim oraz na wsparcie dla rodzin poległych. Polacy okazali wielką hojność i ze wszystkich stron kraju ślano ofiary pieniężne i drogocenne przedmioty. Niebawem „Gazeta Polska” mogła poinformować, że do redakcji złożono m.in.: składki z nabożeństw żałobnych w Białej Podlaskiej, krzyżyk złoty od M.K., pamiątkowy pierścionek od J.B., obrączkę ślubną od Ch., 100 złp od właścian z parafii Jasiona pod Białostrzegami i trzech tamtejszych Żydów, dwa krzyżyki z Olszynki od Luci i Jadzi, 22 łokcie materii z fabryki na ulicy Pawiej od jej pracowników, datek pieniężny z Kowna, pierścionek złoty z Najświętszą Panną Częstochowską, składkę zebraną w czasie nabożeństwa ku czci poległych ofiar w parafii Smardzowic z Olkuskiego, 60 złp od Daniewskiego z Petersburga, od G. z Piotrkowa czapkę wygraną w loterii, a przeznaczoną przez biedną wdowę... Wśród ofiarodawców byli ziemianie i chłopci, arystokraci i mieszczaństwo, katolicy i Żydzi, dorośli i dzieci – łączyło ich jedno – miłość ojczyzny.



Masakra na placu Zamkowym 8 kwietnia 1861 r. Wojsko rosyjskie otwiera ogień do manifestantów



Margrabia Aleksander Wielopolski



Maksymilian Gierymski „Patrol powstańczy”

tłum stał niewzruszony. Do natarcia ruszyła jazda, zandarmi chwycili za szable, a piechota za kolby karabinów. Polacy nie drgnęli. Padli na kolana i przyjmowali rosyjskie ciosy. Gdy nie ustępowali, generał Stiepan Chrulew ustawił piechotę w dwie linie i po komendzie „ognia”, oddano salwę strzałów do bezbronnych. Masakrowani ogniem pocisków nie cofnęli się jednak. Stała się natomiast rzecz niesłychana. Pod śmiertelnym ostrzałem zaczęły formować się procesje, które od strony Senatorskiej i Krakowskiego Przedmieścia szły z krzyżem, śpiewając pieśni religijne. Na czele jednej z nich zdążył Karol Nowakowski. Zaatakowany przez kozaków upadł, a krzyż, który niósł przejął Żyd, Michał Landy, ale i on trafiony został śmiertelnie kulą. Wojsko ostatecznie rozgromiło manifestujących. Była to prawdziwa rzeź niewiniątek, jedna z najtragiczniejszych i najkrwawszych manifestacji 1861 r.

Następnego dnia Górczakow umieścił w prasie warszawskiej, w tym i w „Gazecie Polskiej”, odezwę do Polaków, by powstrzymać ich przed antyrosyjskimi demonstracjami. Do wypadków dnia poprzedniego odniósł się w sposób kłamliwy. Pisał, że to manifestanci swoim agresywnym zachowaniem sprowokowali wojsko do użycia siły i oddania strzałów. Aby jeszcze bardziej ich zastraszyć, pod odezwą nakazał wydrukować ustawy zabraniające publicznych zgromadzeń wraz z wyliczeniem surowych kar grozących za łamanie rozporządzenia. Namiestnik podał również, że w zamieszku zginęło tylko 10 Polaków i 2 Rosjan. Dane te jednak były fałszywe. Historyk Bender podaje, że Agaton Giller odnotował 98 nazwisk zabitych, konsul angielski w Warszawie donosił o 110 śmiertelnych ofiarach, źródła rosyjskie mówią o 200 zwłokach przewiezionych na dziedziniec zamkowy. Po tej strasznej masakrze Andrzej Zamojski zwrócił się do Górczakowa ze słowami: „Krew wzywa krwi, krew utrwała tylko nienawiść”.

Fala manifestacji nie ustawała, wręcz przeciwnie, wzmożła się jeszcze i rozszerzyła na cały kraj, obejmując Królestwo, Litwę, Ruś i Galicję. Największe z demonstracji odbyły się w Kownie, Wilnie, Grodnie i Horodle. Momentem zaś przełomowym, który skonsolidował cały naród, okazał się pogrzeb prymasa Królestwa Polskiego arcybiskupa Antoniego Melchiora Fijałkowskiego – wielkiego orędownika ruchu patriotycznego. Jemu to „Gazeta Polska” złożyła hołd w sposób szczególny, przypominając zasługi duchownego, jego drogę do infuły biskupiej i zamieszczając dokładną relację z podniosłej ceremonii pogrzebowej. Mimo nacisków cenzury starała się dać do zrozumienia czytelnikom, że pogrzeb arcybiskupa to tak naprawdę patriotyczna demonstracja. Pisano, że wzięły w nim udział wielotysięczne tłumy, że

cała Warszawa okryła się żałobą, że dokonanie wiernego opisu przebiegu ceremonii jest „niepodobieństwem; oddaleni przeczują to, co w obrazie ująć się nie da słowami”. W gazecie podkreślano, że pogrzeb Fijałkowskiego, który „dobił się uznania całego narodu” dzięki swej „chrześcijańskiej pokorze i obywatelskiemu pojmowaniu wysokiego stanowiska jako wielkiego brzemienia”, połączył cały naród, który „skupił się dokoła zwłok najdostojniejszego [...] Arcypasterza”. „Gazeta Polska” wyraziła nadzieję, że wiara i miłość, które w tej ostatniej chwili pożegnania zjednoczyły rodaków, „nie wygasną w ich sercach” i „umocnią je na ciężkie życia koleje”.



Prasa i literatura w dobie cenzury

Początek lat 60. XIX wieku okazał się dla „Gazety Polskiej” czasem trudnym, gdyż cenzura dławiła wolność słowa i zakazywała jakichkolwiek komentarzy politycznych.

Margrabia Aleksander Wielopolski – jeden z najbardziej wpływowych ludzi ówczesnej Warszawy, zaufany cara, naczelnik rządu cywilnego Królestwa Polskiego (1862), panicznie bał się prasy i robił wszystko, by dziennikarze milczeli. „Pokładał jedynie nadzieję – jak pisze Witold Giełżyński – w ślepej subordynacji cenzorów i wdrożeniu ich do kierowania prasą”. Nie zgodził się na zniesienie cenzury prewencyjnej na okres próbnego i odrzucił umiarkowany w swych postulatach projekt prawa prasowego przygotowany przez Kazimierza Krzywickiego. W gazetach ukazujących się w oficjalnym obiegu zamieszczano szerokie omówienia wypadków zagranicznych, natomiast trudno było znaleźć jakiegokolwiek komentarze na temat

sytuacji wewnętrznej państwa. Zniknąć musiały też i artykuły wstępne poruszające bieżące wypadki krajowe, a stanowiące dotąd jedyną alternatywę wypowiedzi na tematy związane z życiem narodu. Prasa nie mogła więc pisać o żałobie narodowej, o patriotycznych manifestacjach ogarniających cały kraj, o wstrząsających do głębi ulicznych masakrach.

Kraszewski–Wielopolski. Ostateczne starcie

Wzmocnienie kontroli Wielopolskiego nad organami prasowymi paradoksalnie zrodziło zjawisko prasy podziemnej, która zaczęła rozwijać się już w 1861 r., a swe apogeum osiągnęła w 1863 r. „Strażnica” założona przez Sybiraków, „Głos”, „Sternik” Aleksandra Zamojskiego, „Kosynier” Agatona Gillera, „Partyzant” – organ „czerwonych”, „Głos Kapłana Polskiego” i „Dzwon Duchowny” – oto niektóre zakazane tytuły. Prawdopodobnie nawet w drukarni „Gazety Polskiej” wychodziło nielegalne pismo „Polska” redagowane przez Mariana Chrzanowskiego.

Wielopolski nie dawał jednak za wygraną i postanowił rozprawić się z podziemną prasą. Nieprawomyślnym piśmom przeciwstawił własny organ prasowy, przeobrażając „suchą” „Gazetę Rządową” w bardziej atrakcyjny dla czytelników „Dziennik Powszechny” – pismo urzędowe, polityczne i naukowe, ale żywo redagowane. Dla Polaków pozostawało jednak podejrzane moralnie i politycznie. Jego czołowym publicystą został Józef Aleksander Miniszewski, uważany powszechnie za zdrajcę, zaszytowany przez „nieznanych sprawców” 2 maja 1863 r. Nic więc dziwnego, że „Dziennik Powszechny” – broń Wielopolskiego przeciwko niezależnym dziennikarzom – nie spełnił pokładanych w nim nadziei i wzbudził uzasadnioną nieufność społeczeństwa.

Wielopolski szczególnie niebezpieczeństwo widział dla siebie i swojej prorosyjskiej orientacji w osobie Kraszewskiego jako redaktora naczelnego „Gazety Polskiej”. Nie miał zaufania do niego, choć wydawało się, że obaj stoją po tej samej stronie barykady jako ludzie postępowi, dążący do przeprowadzenia reform i gospodarczego rozwoju kraju. W rzeczywistości dzieliła ich ogromna przepaść. Wielopolski chciał siłą narzucić rodakom własną wizję Polski, wychodząc z założenia, że „dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, z Polakami – nigdy”. Był twardo stąpającym po ziemi racjonalistą, który wyzbył się złudzeń, co do odzyskania wolności, pogodził ze stanem podległości Rosji i uznał, że jedyne



co można wywalczyć to autonomię i reformy... Kraszewski poszedł inną drogą – uważał, że Polskę można budować jedynie z Polakami i że tylko wola narodu i wspólny wysiłek są w stanie przeobrazić rzeczywistość. Przy tym był wyznawcą chrześcijańskich wartości, kierując się miłością bliźniego, a nie siłą pięści i rewolucyjnego terroru. Nie wykluczał jednak możliwości wybuchu powstania narodowego, czego świadectwem była drukowana przezeń anonimowo w Paryżu broszura pt. „Sprawa polska w roku 1861”. W niej to wyraził swoje przekonanie, że powstanie w Polsce ma szansę zwycięstwa, gdy spełnione zostaną dwa warunki – pozyska się

dla niego lud drogą uwłaszczenia, a w Rosji wybuchnie rewolucja („Rosja jest na wulkanie, wyczekać potrzeba chwili, aby z tego skorzystać”).

Rywalizacja między Kraszewskim a Wielopolskim ciągle się zaostrzała. Za pisarzem stała wpływowa „Gazeta Polska” bijąca wówczas rekordy poczytności i mająca ogromny wpływ na opinię narodu. Kraszewski stawał się dla Wielopolskiego człowiekiem coraz bardziej niewygodnym. „Wielopolski, jak podkreśla Wincenty Danek, dobrze się orientował w rozmiarach wpływu publicystyki Kraszewskiego na nastroje ogółu i uważał popularnego pisarza za bardziej niebezpiecznego niż czerwoną młodzież [...], nie ufał temu, co oficjalnie spod jego pióra trafiało na łamy »Gazety«, choćby to było konsekwentne nawoływanie redaktora do spokoju i pracy, czy też [...] solidarystyczny, wzywający do zgody narodowej ton jego artykułów. W tejże samej »Gazecie« mógł bowiem wyczytać ataki Kraszewskiego przeciw usypianiu czujności narodowej, przeciw bierności politycznej. Wiele można było pod takie ogólniki podstawić. Dlatego nie ufał również Wielopolski potępieniu zamachu na swą osobę, które ukazało się w »Gazecie«”.

Atmosfera wokół Kraszewskiego gęstniała. Wielopolski śledził każde jego posunięcie, analizował każde słowo wydrukowane w dzienniku, by jak najszybciej położyć kres jego działalności w „Gazecie Polskiej”. Sposobność nadarzyła się w wigilię Bożego Narodzenia 1862 r., kiedy Kraszewski napisał artykuł wzywający do pokory, zwłaszcza tych, którzy zajmują wysoką pozycję społeczną:

„Gdybyśmy umieli być pokorni – pisze – jak byśmy wielcy być mogli, gdybyśmy nie chcieli królować, jak byśmy wielką posiadli potęgę! Społeczność nasza nade wszystko boleje na dumę, cierpi na to rozszarpanie przez miłość własną, które z niej czynią plac boju, zamiast agapów chrześcijańskich. Pokorą tylko człowiek odtrąca upokorzenie, pokorą idzie do pracy, do doskonałości, do opanowania siebie, bez którego nic też opanować nie potrafi”.

Ten numer „Gazety” rozszedł się po Warszawie w mgnieniu oka. Opinia publiczna rozumiała dobrze aluzję pisarza – chodziło przecież o niepokonane aspiracje Wielopolskiego, o osobę tego dumnego magnata, który lepiej od samych Polaków wiedział, co jest dla nich dobre. Wielopolskiemu też nie trudno było się domyślić, do kogo tak naprawdę Kraszewski skierował swój apel. Redaktor „Gazety Polskiej” uderzył w jego najczulszy punkt – w miłość własną. Wielopolski przy-

gotowywał się do odwetu. Jeszcze tego samego dnia interweniował u namiestnika Królestwa Polskiego, księcia Konstantego i wymógł na nim decyzję o natychmiastowym opuszczeniu przez Kraszewskiego zarówno redakcji dziennika, jak i stolicy. Skazywał tym samym na wygnanie wielkiego pisarza, będącego niepodważalnym autorytetem dla swych rodaków. Teraz Kraszewskiego czekała tułaczka na obczyźnie, a pierwszą jego dłuższą przystanią stało się Drezno.

Ale i sam Wielopolski niedługo tryumfował w stolicy. Nie chcąc dopuścić do czynu zbrojnego, zarządził „brankę”, wskutek czego tak naprawdę przyspieszył wybuch powstania. Na ten ogólnonarodowy zryw zareagował słowami: „Wrzód pękł”, pewny, że kilka tygodni wystarczy, by stłumić bunt w zarodku. Mówiąc tak, nie wiedział, jak bardzo się myli. Oto teraz powstał cały naród, wyrażał swoją wolę, domagał się niepodległości i chwycił za broń. Car Aleksander II wobec niepowodzeń polityki Wielopolskiego stracił do niego zaufanie i pozbawił dotychczasowej władzy. Margrabia otrzymał więc dymisję ze stanowiska i rozgoryczony opuścił stolicę. Los sprawił, że udał się na tułaczkę i trafił, podobnie jak Kraszewski, do Drezna. Tam też spotkał Kronenberga. Podczas gdy Wielopolski czuł się przegrany i z przerażeniem myślał o przyszłości, Kronenberg zamierzał wracać do ojczyzny, by nadal działać dla jej dobra. Przejawiał wolę walki i miał konkretne plany w sferze ekonomicznej, a jak czas pokaże, udało mu się je zrealizować (założył Bank Handlowy w Warszawie, sfinansował budowę Kolei Nadwiślańskiej, inwestował w przemysł górniczo-hutniczy i cukrowniczy, a w swoich zakładach zatrudniał byłych powstańców).

„Gazeta Polska” po wybuchu powstania styczniowego

Już w numerze z 27 grudnia 1862 r. „Gazeta Polska” dała do zrozumienia swoim czytelnikom, że mimo ustąpienia Kraszewskiego z redakcji, program ideowy dziennika nie ulegnie zmianie. Zapowiadano więc dalszą walkę o uwłaszczenie włościan, szerzenie oświaty, równouprawnienie Żydów, rozwój gospodarczy kraju, doskonałe umysłowe i moralne jego obywateli. „Praca i po trzykroć praca – głoszone – praca umysłowa i moralna, przemysłowa i ręczna, praca około szkoły, sądu i rady – praca ku podniesieniu i intelektualnemu, i gospodarczemu ludu – jednym słowem praca organiczna [...] łącząca wspólnym a silnym węzłem miłości do kraju, przede wszystkim zaś praca nad własnym ulepszeniem”. Kraszewski, choć na zawsze opuścił Warszawę, wciąż pisał do „Gazety Polskiej”, lecz anonimowo, ukrywając się pod kryptonimem x, potem znów już jako emigrant stał z za granicy swoje artykuły i nowe powieści. Wprawdzie po jego wyjeździe do Drezna firmował „Gazetę Polską” swoim nazwiskiem Kronenberg, ale w rzeczywistości funkcję redaktora naczelnego pełnił Karol Ruprecht. Nie mógł on jawnie stanąć u steru gazety, gdyż nie pozwalała mu na to jego przeszłość. Był bowiem niegdyś spiskowcem skazanym na śmierć za działalność niepodległościową w 1846 r. Ułaskawiony został dopiero pod szubienicą i wtedy też karę śmierci zamieniono mu na katorgę. Odbywał ją w kopalniach srebra i ołowiu w Nerczyńsku, Akatui i w Aleksandrowsku, po czym osiedlić się musiał w Kiachcie i pracował jako urzędnik w kopalni złota. Na mocy amnestii z 1856 r. mógł powrócić do kraju, a chcąc dalej działać na rzecz ojczyzny, związał się z „białymi”. Wiosną 1862 r. spotkał w Karlsbadzie Kronenberga, który wciągnął go do współpracy w „Gazecie Polskiej”.

Wraz z wybuchem powstania styczniowego Kronenberg i Ruprecht zaangażowali się w działalność niepodległościową. Warszawski bankier i właściciel „Gazety Polskiej” nie szczędził pieniędzy dla powstańców. Finansował zakup broni i przetrzyty z za granicy. Zabięgał w europejskich bankach o pożyczki dla partyzantów. Ruprecht natomiast w końcu marca wszedł do Rządu Narodowego, obejmując w nim nadzór nad skarbem. Był pośrednikiem między władzami powstania a warszawską finansjerką wspierającą narodowy zryw. „Pożyczał na swoje imię, i to pożyczał miliony” – jak pisał o nim Agaton Giller. Z czasem osiągnął „moralne i intelektualne przewodnictwo w rządzie”. Opowiadał się za przewlekaniem działań powstańczych, licząc na pomoc zbrojną państw zachodnich.



Artur Grottger „Bitwa”. Cykl: Polonia 1863

Tymczasem „Gazeta Polska” po wybuchu powstania styczniowego pozostawała szponach cenzury, podobnie jak inne warszawskie periodyki. Represje i prześladowania groziły dziennikarzom, którzy ośmieliliby się zamianifestować otwarcie swe patriotyczne postawy. Wszyscy pamiętali, co spotkało Karola Kucza – redaktora „Kuriera Warszawskiego”, który za przejawy sympatii do manifestantów zesłany został w głąb Rosji. Trzy najbardziej liczące się w Warszawie pisma – „Gazeta Polska”, „Kurier Warszawski” i „Gazeta Warszawska” – w obliczu wypadków styczniowych przyjęły wspólną strategię działania. Polegała ona na tym, że przedrukowywano bez zmian i komentarzy informacje o przebiegu walk powstańczych z urzędowego „Dziennika Powszechnego”, dzięki czemu pisma przechodziły przez cenzurę. Była to zamierzona i przemyślana taktyka prasy, dzięki której społeczeństwo mogło poznać faktyczny obraz rozgrywających się wydarzeń. W ten sposób Polacy dowiadawali się, że walki toczą się wszędzie, że liczebność powstańców jest ciągle znaczna, a determinacja walczących ogromna. „Gazeta Polska”, przedrukowując z „Dziennika Powszechnego” komunikaty o przebiegu powstania, musiała liczyć na zrozumienie i inteligencję czytelników, którzy potrafili właściwie zinterpretować podane informacje, równocześnie domyślając się konieczności użycia obraźliwych względem walczących epitetów, jak np. „bandy buntowników”, „tłum burzycieli”, „banda złoczyńców”. Bystry czytelnik mógł także z łatwością zauważyć, że Rosjanie przypisują sobie raz po raz zwycięstwa odniesione nad powstańcami, zawyżając liczbę zabitych i rannych Polaków, wyolbrzymiając ich straty, a wszystko po to, by złamać ducha w narodzie.

Były to ważne dla Polaków informacje, które pozwalały zorientować się w sytuacji walczącego narodu, dawały wyobrażenie o rozległości terytorium objętego powstaniem, o rejonach zintensyfikowanych walk powstańczych, o liczebności oddziałów partyzanckich, ich uzbrojeniu, o ważniejszych potyczkach, wreszcie o aresztowaniach i egzekucjach (w wielu przypadkach z wymienieniem nazwisk powstańców). Dostarczane w ten sposób wiadomości stanowiły niezbity dowód, że Polacy nieprzerwanie stawiają opór wrogowi, nie poddają się, że ciągle trwa wojna partyzancka, a wiara w sens tej walki jest niezachwiana.

Spowiedź „warszawskiego dziecięcia wieku”

Gdy Kraszewski opuścił Warszawę w styczniu 1863 r. i znalazł się na emigracji, mógł głośno wypowiedzieć prawdę o Polsce i Polakach, o ich męczeństwie, o krwawej ofierze, którą spełnili w roku 1861. Podczas gdy rodacy bili się o niepodległość w powstaniu styczniowym, wówczas były redaktor „Gazety Polskiej” napisał i opublikował powieść „Dzieci Starego Miasta”. Ze szczególną dbałością o zachowanie autentyczności odtworzył w niej gorącą patriotyczną atmosferę Warszawy 1861 r., ukazując dramat Polaków przez pryzmat losów młodzieńca Franka Plewy i jego ukochanej Anny Czapińskiej. Główny bohater jest synem warszawskiej handlarzki i powstańca listopadowego, uzdolnionym plastycznie studentem Szkoły Sztuk Pięknych i przede wszystkim gorącym patriotą. Kraszewski tworzy więc portret młodego zapaleńca, który bierze udział we wszystkich antyrosyjskich manifestacjach, działa w młodzieżowej konspiracji i ma przecucie swojego tragicznego losu. Widzimy go na pogrzebie generałowej Sowińskiej i na Woli, gdzie młodzi chcieli uczcić pamięć jej męża. Oglądamy namalowany przezeń obraz, płótno na miarę Grotgera, w którym oddał całą cierpienniczą drogę narodu, ową polską Golgotę XIX wieku: „Na pierwszym planie niby pobojowisko, okryte mnóstwem trupów, poległych różną śmiercią za ojczyznę... jeszcze bliżej obnażone ciało kobiety, wyobrażającej Polskę, z rozkrwawioną piersią... z potarganym włosiem, z pętami na rękach. A nad nim unoszące się sępy z szeroko rozpostartymi skrzydłami, z zakrwawionymi dziobami”. Franek w tym obrazie ujął całą istotę naszej ziemi przesiąkniętej krwią, ziemi mogił i krzyży.

Kraszewski wysłał swojego bohatera na plac Zamkowy 25 lutego, gdzie „zgniecione kaski, potłuczone konie, poszczerbione szable, popałamane twarze pochodniami, pogruchotane kamieniami i sprzętami ramiona świadczyły, że niewolnicy wstrzęśli nareszcie kajdanami”. Podczas tej pamiętnej manifestacji Franek został ranny, w wyniku czego całkowicie utracił władzę w ręce. To nie



A Grotger „Pierwsza ofiara”, cykl: Warszawa I 1861

„Atak na miasto Miechów [...] nastąpił o świcie [...]. Liczba buntowników wynosiła 3000 [...]. Wojsko za pierwszym sygnałem alarmowym zajęło rynek; buntownicy wówczas usiłowali kilkakrotnie i z wielką zaciętością dostać się tamże, ale za każdym razem odparci zostali ze znaczną stratą. Wielu mieszkańców występowało po stronie buntowników, a między nimi burmistrz, który wystrzał z domu swego, ranił żołnierza pułku Smoleńskiego. Walka trwała 3 godziny; buntownicy zostali zmuszeni do odwrotu, pozostawiając na placu 200 zabitych i unosząc wielką liczbę rannych. Z bandy tej ujęto 75 ludzi. Wojsko straciło 8 ludzi w zabitych a 20 ranionych [...]”.

„Banda Langiewicza ścigana przez wojsko, (po pobiciu pod Małogoszczem) połączywszy się z bandą pod przywództwem Jeziorańskiego, została dognaną przez wojska w dniu 14 (26) lutego pod Włoszczową i do szczętu rozbita. Wszelkie bagaże z 70 wozami i 152 końmi dostały się w ręce wojska [...]”. Ze strony wojska straty są mało znaczące”.

powstrzymało go jednak przed wzięciem udziału w kolejnej demonstracji. 27 lutego stał się świadkiem barbarzyńskiej egzekucji Rosjan na Polakach, ale i moralnej klęski carskiego wojska: „Silni po wystrzale stali się słabymi, a lud męczeństwo powitał okrzykiem triumfu. Strzał ten mówił światu, że Rosja nie panowała w Polsce, tylko siłą, kulami, gwałtem”. Sam zaś Franek Plewa to postać-symbol martyrologii Polaków – raniony po raz kolejny podczas drugiej manifestacji trafił do szpitala w warszawskiej Cytadeli, skąd dzięki wstawianictwu matki uda mu się szczęśliwie wrócić do domu. Ale i tu nie zaznał spokoju. Przyjdą po niego wkrótce panowie w czerwonych kołnierzach i znów znajdzie się w twierdzy, tym razem w wyniku donosu konfidenta. Jego los dopełni się 8 kwietnia. Będzie to jeden z najtragiczniejszych dni w polskiej historii. Oto naraz Franek usłyszy za oknem złowrogie odgłosy, zobaczy pędzące ku Zamkowi wojsko, w końcu dobiegnie go wystrzał z działa. Pełen wewnętrznego wzburzenia, ciągle leczący rany i z trudem mogący ustać na nogach, nie chciał być jedynie świadkiem rzezi swoich towarzyszy. Z całego serca zapragnął znaleźć się obok nich. Półprzytomny wybiegł

na ulicę. Miał przecucie, że szykuje się znów „heroiczny bój bezbronnym z dziką tłuszcą”. Usłyszał przerażające krzyki: „Moskale mordują wszystkich!”. Poczuci, że traci siły. Oparł się o mur i obłąkanym wzrokiem śledził to dramatyczne starcie:

„W tejsze chwili, wśród otaczającej wrzawy, która się coraz wzmagała, z krzyżem na czele wyszli księża kapucyni przez Senatorską i z obrazem Zbawiciela jak tarczą stanęli przeciw zbójcom. Franek, postrzegłszy, że wojska mierzą do ludu, podniósł pięść ściśniętą, a mimowolnie oczy jego zwróciły się na okna Anny, w których bladą jej twarz rozpoznał mimo mroku.

W tejsze chwili rozległ się dziki wrzask tłuszczy, jakby ryk zwierzęcia, które, długo trzymane w klatce, nareszcie na pastwę się rzucił.

Strzał suchy padł na tłumy, coraz się gęściej skupiające. [...] młody chłopak stał kamieniem w miejscu [...]. Lica mu płonęły świętym ogniem, ręka kilka miesięcy bezwładna, pierwszy raz podniosła się, ścisnęła w pięść i pogroziła wrogom... wskazując niebo.

Był to ostatni wysiłek tego dziecka ludu, Franek oczy zwrócił ku Annie... i upadł.

Kula moskiewska, dobrze wymierzona, tym razem ugodziła go w same piersi, [...] smugą krwi męczeńskiej wypisała na nim jedną z kart bolesnych dziejów boju naszego o ojczyznę.

Obok dziesięcioletni chłopak w konfederatce, śmiertelnie ugodzony, jedną ręką chwycił się za serce, drugą podrzucił czapeczkę polską do góry i zawołał osłabłym głosem:

– Jeszcze Polska nie zginęła! – upadł”.

Anna obserwowała tę dramatyczną scenę z okna. Nie rozpoznała wprawdzie w ranym młodzieńcu Franka, ale tchnięta złym przecuciem, wybiegła z kamienicy i rzuciła się w tłum. I rzeczywiście jej ukochany już konał. Przybyła w samą porę, by się z nim pożegnać. Wokół nich rozgrywały się straszne sceny:

„Żołnierze wlekli za nogi żywych jeszcze, ledwie rannych ludzi, głowę im rozbijając o bruki. Kolbami gnietli czaszki na kamieniach; pastwili się nad dziećmi, które z uśmiechem konały, czując, że krew ich nie będzie dla kraju straconą.

Dzikie wycia pijanych żołdaków rozlegały się razem z hymnem do Boga, nuconym przez kapłanów, z okrzykami tysięcy, które nieuleknione wyprzedzały się na śmierć.

Powoli noc czarna zasłonę zasuwała na ten obraz, który w mroku coraz bardziej snem się poczwarnym wydawał [...]; hałastra rozjuszona bujała, ciesząc się z łatwego zwycięstwa... walczyła żelazem z krzyżem, pieśnią i pragnieniem męczeństwa”.

Stygającego trupa dźwigano do kamienicy, w której Anna mieszkała z ojcem. Ale nawet tu umarły nie znalazł spokoju. Dookoła słyszano krzyki oznajmiające, że rannych i zabitych Moskale wloką do Wisły. Smuga krwi przy progu jej kamienicy zdradziła kryjówkę buntownika. Żołnierze zastukali kolbami, a gdy nie otwierano, wyważyli drzwi. Anna nie zdołała uchronić ciała zmarłego przed profanacją. W walce z Moskalami straciła przytomność... Gdy się ocknęła „cała jej suknia zbroczona była krwią, ręce nią złane; żołnierze, odrywając ją od trupa, rozerwali długie jej warkocze, potłukli nieszczęśliwą. Półmartwa, zbita, obudziła się i jęknęła, gdy powracająca pamięć przywiodła jej straszny zgon ukochanego [...]”.

Nie było go... trupa nawet z innymi do nieznanego powlekli grobu... Gdzie? Bóg jeden wiedział tylko [...]. Gdzieś z falami Wisły, z kamieniem u szyi płynęło ciało męczennika i spoczęło na dnie, na żółtym piasku rodzinnej rzeki. [...]

Tak zginęło pocziwe dziecię Starego Miasta”.

Kraszewski nie spodziewał się pewnie, że jego powieść nie straci nic ze swej aktualności za lat 80, gdy nowe szeregi dzieci Starego Miasta chwycą za broń, by walczyć z niemieckim okupantem o wolność Warszawy. Akt bezprzykładnego bohaterstwa zaświadczy, że kolejne pokolenia Polaków okazały się godnymi kontynuatorami tradycji poświęcenia i ofiary młodych bojowników o narodową sprawę z 1861 r.